

Mailem z Krotoszyna

Nie będę kanibalem

W Krakowie 16 grudnia mediom oficjalnie przedstawiono *Kartę Praw Lekarza*. Teraz jej tekst został przekazany Ministerstwu Zdrowia i ma być upowszechniany. Na podstawie środowiskowych sondaży i badań okazuje się bowiem, że nasze zawodowe prawa znamy słabo. Ba, część z nas nawet nie wie o ich istnieniu!

To nic nowego. Pewnie z tych samych powodów – w porównaniu choćby z pielęgniarkami, a już na pewno z nauczycielami (o górnikach, transportowcach czy stoczniowcach nie wspominając!) – mamy też słabsze związki zawodowe. Tak, skuteczniej na lekarską rzeczywistość wpływają pragmatyczne zrzeszenia w rodzaju Porozumienia Zielonogórskiego niż nie do końca reprezentatywne, nie zawsze też poważnie odbierane (także przez kolegów), a niekiedy po prostu niekompetentne i niekonsekwentne związki zawodowe lekarzy, z OZZL na czele.

Czasem odnoszę wrażenie, że stosunkowo niewielka siła przebicia lekarskich związków zawodowych wynika z ich swoistego rozdwojenia jaźni. Z miotania się pomiędzy tym, co dyktuje rozsądek, przyzwoitość i wykształcenie, a tym, co nakazuje związkowy (czytaj: lewicowy) status protestującego. A dyktuje on, upraszczając, konieczność protestowania nawet wtedy, gdy przedmiot dyskusji z założenia pachnie czerwono. Tymczasem nie wierzę, że lekarscy związkowcy, nawet lewicowi, kierują się jedynie prymitywnym konsumpcjonizmem, godnym prostego robotnika albo

Czasem odnoszę wrażenie, że stosunkowo niewielka siła przebicia lekarskich związków zawodowych wynika z ich swoistego rozdwojenia jaźni. Z miotania się pomiędzy tym, co dyktuje rozsądek, przyzwoitość i wykształcenie, a tym, co nakazuje związkowy (czytaj: lewicowy) status protestującego. A dyktuje on, upraszczając, konieczność protestowania nawet wtedy, gdy przedmiot dyskusji z założenia pachnie czerwono

pyskatej sprzątaczkii: doraźnym, takim na tu i teraz, takim (niestety) zabójczym na dłuższą metę. Sądzę, że w lekarzach związkowcach jednak stale tli się wrażliwość, nazwijmy to, rozsądna. Ta długoplanowa, prawdziwa; wynikająca z charakteru ich zawodu. Czyli taka, która np. nakazuje, żeby zagubionemu, zdesperowanemu bezrobotnemu nie dawać ryby, tylko wędkę – aby powrócił do normalności. Przeciętny prostaczek mógłby załamać nad nim ręce i rozpaczać: „Na co wędka, dajcie mu rybę, jeszcze ją podlejcie maselkiem z ziołami, przecież on głodny, miejcie litość – wszak jesteście lekarzami...”. Tymczasem od człowieka naprawdę wrażliwego on musi dostać właśnie wędkę, a nie gotowe danie! Dla swego własnego dobra. A lekarz właśnie dobro człowieka, nie zaś jego tymczasowo pełen żołądek, ma uważać za priorytet... Bo który doktor jest lepszy, który bardziej wrażliwy: ten mówiący do otępego cukrzyka: „Niech pan je na zdrowie, biedaku, skoro ma pan ochotę” czy ten, który wciąż powtarza pacjentowi: „Wiem, że to wymaga wyrzeczeń, żal mi pana – ale dla własnego dobra musi pan sobie odmówić ulubionych kremówek i pączków”?

Dlatego uważam, że każdy związek zawodowy akurat nas, lekarzy, małe ma szanse zarówno na to, aby skutecznie lewicować (jak niby powinien), jak i na to, aby popierać tendencje liberalne (jak by chciał). Będzie zawsze niejednoznaczny, nijaki, mdły, nieumiejący określić własnej tożsamości i priorytetów.

Czy to dobrze czy źle? Zacznę od wspomnienia. Otóż, w licealnych czasach fascynowały mnie dzieła Stanisława Lema. Ten dziś już klasyk fantastyki nauko-



Maciej R. Hoffmann

wej (europejskiej, a może nawet światowej), wtedy skutecznie konkurował w zdobywaniu okopów mojej nastoletniej wyobraźni z Różewiczem, Witkacym i Joyce'em. Wydaje się to dziwne, to prawda – no, bo czy ściśle myślący wizjoner futuryzmu może stawać w szranki z humanistami? Dziś wiem, że to był pozorny paradoks. Przecież *Solaris*, *Dzienniki gwiazdowe*, *Szpital Przemienienia*, *Doskonała próżnia*, *Bajki robotów* czy *Opowieści o pilocie Pirxie* są tak samo przepojone humanizmem, jak *Kartoteka*, *Niemyte dusze* albo *Ulisses*. Mimo wszystko: mimo obecności w nich elektroniki, fizyki, kosmosu, cybernetyki, innych cywilizacji, pętli czasu, technologii jutra... Bo w końcu, jakkolwiek by było, Lem był lekarzem. Nie tylko myślał – ale także czuł. Nie tylko czuł – ale także myślał.

Dostrzegał to i doceniał to ks. Stanisław Obirek, z którym Lem korespondował. Ksiądz Obirek, wszak katolicki duchowny, tak pisał do Lema, wszak zadeklarowanego ateisty: „Mimo Pańskiej niewiary upatruję w Panu jednego z najciekawszych, a może najciekawszy właśnie głos moralnego niepokoju. (...) Zastanawiam się nad źródłami jasności Pańskiego widzenia i nad powodami, dla których ludzie wierzący w naszym kraju uczestniczą w ogólnym zaślepieniu”.

Właśnie tak: ludzie wierzący w naszym kraju uczestniczą w ogólnym zaślepieniu... Te słowa księdza Obirka pochodzą z późnych lat 50. lub z lat 60. (nie pamiętam dokładnie), więc można się domyślać, do jakich rodzajów zaślepienia ówczesnych Polaków katolików one się odnoszą. Ale dziś okazuje się, że są ponadczasowe i że opisują utrwaloną już społeczną regułę – naszą, polską, ponadczasową, ponadustrojową, ponadpolityczną... Owo ogólne zaślepienie dużej grupy Polaków, w większości ludzi podobno wierzących, polega na tym, że dostrzegają tylko te opcje, które przynoszą im korzyści. Nie korzyści duchowe, ulotne, eteryczne – ale czysto materialne, jak najbardziej konkretne.

Na przykład: ci ludzie ślepną, gdy mogą poleniuchować kosztem innych, w dodatku dostając za to pieniądze. Co prawda wyznawana przez nich religia katolicka propaguje pracę i wstrzemięźliwość (kiedyś wręcz ascetyczny) tryb życia, ale duża część Polaków tego nie zauważa (lub udaje, że nie zauważa). Czyli właśnie: jest zaślepienia. To inna grupa, choć może niedeklarująca aż tak bardzo swej religijności, stanowi ów głos moralnego niepokoju – jak to określił ks. Obirek w odniesieniu do Stanisława Lema. Doszedłem do tego wniosku, wysłuchując w radiu i TV, z zadziwiającą mnie samego cierpliwością (bo właściwie należało wyłączyć odbiornik – dla zdrowotności), grudniowych wywodów wszystkich skrzywdzonych nowymi przepisami emerytalnymi biedaków: zaharowanych pracowników kultury, straszliwie narażonych urzędników NIK, wypruwających sobie flaki kasjerek kolejowych... I innych związkowców reprezentujących grupy zawodowe przekonane o własnej wyjątkowości. W tym – o swym niepodlegającym dyskusji prawie do wczesnej emerytury. A także o tym, że to ci lżej pracujący Polacy (na przykład nieroby lekarze) powinni ich na tychże wczesnych emeryturach utrzymywać.

Z ust pokrzywdzonych padają efektownie gładkie zdania i pseudoeuropejskie (a tak naprawdę to pieniaczopolskie) argumenty (typu: poruszymy Trybunał w Strasburgu!). Widać, że rozczarowani sejmowym głosowaniem działacze są obcy. W każdym razie: chcą być obcy. Chcą być nowoczesnymi, sprawnymi związkowcami. Postępowymi. Ale to właśnie wspomniany Stanisław Lem retorycznie pytał: *Kiedy kanibal używa noża i widelca, czy jest to oznaką postępu?*

No właśnie. Kanibal zawsze pozostanie kanibalem. Nawet używając srebrnych sztućców, będzie chciał się odżywiać kosztem innych ludzi. Bo przecież jemu się to, jako kanibalowi, należy. W każdym razie on tak myśli, zaślepiiony swym kanibalizmem.

Mam nadzieję, że jako lekarz kanibalem nie zostanę. I nie ulegnę ogólnemu zaślepieniu. Jak nie uległ mu wielki Lem; po prostu wrażliwy wrażliwością lekarza, a nie związkowca.